

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 8 kwietnia 1916 roku.

Nr 15.

Gustaw Daniłowski.

POWIEŚĆ.

LILI.

— Jeszcze pięć minut — spojrzał Świda na kolejowy zegar i znowu począł chodzić wzdłuż peronu, zapatrując się w mroczną, migającą liniami świateł przestrzeń, skąd miał nadjechać pociąg.

— Jeszcze trzy! — Chodził ze wzrastającym zdenerwowaniem.

Od paru dni tak oczekiwał, a dziś właściwie bez wyraźnego powodu uroiło mu się, że przyjechać musi i z okna wagonu wychyli się uśmiechnięta jej twarzyczka i złote loki, a on krzyknie: — Lili!

Skazówka zegara znowu drgnęła, jak serce poety, który szepnął z rozrzwinięciem: Lili, wywołując w wyobraźni uroczy jej wizerunek. Pociąg się spóźniał, a Świdę w miarę oczekiwania począł drażnić niepokój.

Przed dwoma tygodniami zapowiedziała swój przyjazd w sposób lakoniczny i jakby warunkowy.

Depesza brzmiała:

— Jeżeli przyjadę, to kurjerem 15-go.

I to niezrozumiałe „jeżeli“ trwożyło go chwilami.

Pisał — odpowiedzi nie było; pocieszał się, że brak listów jest zapowiedzią szybkiego przyjazdu.

Czasem jednak błyskała w nim myśl dotkliwa i przeszywająca, jak ostrze szpady, którą wysiłkiem woli parował.

W jednym z listów Lili napomknęła mu o spotkaniu się z jego kolegą szkolnym, budowniczym Brunonem Bornym.

Z kolegą tym rywalizowali o Lili, która długo wahała się z wyborem i wybrawszy Stefana, wspominała nieraz o Brunonie z niezwykłym ożywieniem i w sposób bardzo życzliwy.

Świadomość, że przebywa z nim, że jej naturalny, trochę figlarny i za-

lotny sposób bycia a jego swoboda tak szczerze wesoła i porywająca, że niepodobna o nic się gniewać... w dodatku stara przyjaźń, upoważniająca do bardzo poufałego stosunku, wszystko to nieraz rozjadało mu duszę.

Czuł, jak zwija się w nim jakiś kłębek złych i podejrzliwych myśli, który obawiał się rozsnuwać wyobraźnią, a który w nim nabrzmiał, jak bolesny wrzód.

Tymczasem na peronie zaroilo się od tragarzy, ukazały się dwie płonące, jak oczy potwora, latarnie i, sapiąc, wpadł pociąg. Stefan począł biegać od okna do okna tam i z powrotem; czasem zdawało mu się, że mignął jej kapelusz, pędził w tę stronę i poznawszy omyłkę, zawracał.

Wysiadali tłumnie pasażerowie, opustoszały wagony, wreszcie opróżnił się peron i tylko jakiś człowiek z latarką począł młotkiem na długim trzonku uderzać po osiach, a w dźwięku tym stękały mu ciężko wyrazy — niema, niema, niema!

— Nie przyjechała! — w nagłym obezwładnieniu całej istoty poczuł tłukącą się po głowie myśl. I jakby przybity tępy raz, powlókł się ku miastu. Szedł jak błędny bez celu i machinalnie wstąpił w otwarte drzwi kawiarni.

Siadł na pierwszym spotkaniem krzesło, obstałował tak, jak mu kelner odpowiedział — kawę i począł przeglądać stos podanych pism. Był do tego stopnia wyczerpany ze wszelkiej energii, że nie chciało mu się przewrócić strony — czytał, nie zdając sobie dokładnie sprawy z treści — szpalte pierwszą lub ogłoszenia ostatniej, jak wypadło. Męczył go zgiełk i światło, ale nie miał siły za-

wołać na kelnera. Nieruchomy, senny smutek otaczał, jakby dymem mgły, szczątki myśli, rwące się na kantach ostro wyodrębnionego poczucia, że jej niema.

Żyli od roku, jak mąż z żoną, i uchodzili za małżeństwo dla ludzi, choć ślub się nie odbył. Pobrali się w czasie rewolucji, kiedy bagatelizowano obrządki. Potem, gdy zawierucha minęła i stosunki wróciły w normalną kolej, on miał trudności w zdobyciu potrzebnych dokumentów, i tak schodziło z dnia na dzień.

Dwa miesiące temu rozstali się trochę niezgodnie.

Drobne nieporozumienia doprowadziły Lili do wniosku, który wyraziła w słowach:

— Stef — zrobmy pauzę — idylla nie może trwać wiecznie, antrakty obojgu nam się przyda.

Świda oponował, ale dość słabo, czuł, że może i ma rację, i narazie doznał tego lekkiego uczucia zupełnej swobody, niezależności, wyzwolenia się z troskliwej ale nieraz irytującej go pieczołowitości Lili, która ze względu na jego słabe płuca, obchodziła się z nim jak z chorem dzieckiem, dbała, by ciepło się ubrał, w porę jadł, mniej palił i nie przesiadywał po nocach... To mierz o później godzinie wstawała w białiznie, skradała się na palcach i zakrywając mu nagle garstkami dłoni oczy — przeprywała pocałunkami pisanie. Ale nawet w tych słodkich chwilach on bywał często jakby biernym przedmiotem jej delikatnej czułości, póki się w nim nie rozegrały żywiołowe moce, wówczas męźnił w krwi szale i Lili stawała się nagle potulną dziewczynką, szeptałą: — Stef, mój wielki Stef kocha małą Lili.

Ale nazajutrz budziła go szklanką gorącego mleka, nudziła, by wypił koniecznie, i dopiero po tym posiłku otulała go kołdrą, poprawiała poduszki i pozwalała spać dalej.

Nie mieli dzieci, ale Lili z tego powodu nie doznawała żadnej tęsknoty. — Mam jedno kapryśne, ale

miłe — odpowiadała, gdy rozmowa schodziła na ten temat.

I rzeczywiście w uczuciach jej do poety było dużo pierwiastku macierzyństwa. Skutkiem życiowego niedołęstwa Stefana ona musiała się troszczyć o całą prozę życia, dbać, by się ubrać porządnie, nie zapomnieć krawata, nie pozwolić się orznąć wydawcom. Cała strona praktyczna spadła na jej barki i to ją czasem nużyło; budziło pragnienie odwrotnego stosunku, majaczyła się pociągającym urokiem sytuacji; kobiety otoczonej dbałością, kobiety bezpiecznie i ufnie opartej o silne, męskie ramie. I wtedy mimowoli przychodził jej na myśl Brunon, typ zupełnie odmieniony od Stefana, człowiek przedsiębiorczy, rzutki, praktyczny, idący wesoło i trochę przebojem przez życie.

Wkradało się cichaczem lekkie zwątpienie, czy wybrała trafnie, według istotnych skłonności swej natury; przekonywała siebie, że zapewne tak, bo istotnie kocha przecież Stefana, a przypominając sobie, że nie była jednak i nie jest zupełnie obojętną dla Brunona, starała się to uważać za chwilowe chybnienie się serca.

Tem nie mniej w dniach znużenia, w owych zwłaszcza dobach, kiedy Stefan, pograżywszy się w swych chmurnych marzeniach, jakby odbiegał od niej zupełnie gdzieś indziej, zapelniając dom atmosferą posępnego smutku, Lili wymykały się mimowoli napomknienia o wieczystej pogodzie; werwie Brunona, którego poeta od czasu rywalizacji o Lili instynktownie nie lubił, a teraz na myśl o tem doświadczał uczuć trwożnych i bolesnych.

— Czyżby dla niego została? — poczuł gorycz w ustach, i nagle olśniła go myśl, że w domu może być list lub depeza, wyjaśniająca wszystko.

Wypadł z kawiarni i dorożka popędził do domu. Sądził susami na drugie piętro, gdzie zajmowali dwa pokoiki. Skrzynka była pusta.

Szybko zbiegł na dół i zaczął się od stróża wprost domagać listów. Potem zdyszany, chwytając się ręką poręczy, z wrażeniem, że wspina się po stromej drabinie, dołaził do mieszkanka. Namacał po ciemku świecę, zapalił i zaczął się rozglądać po stolikach i biurku, jakby z jakąś nadzieją, że wieść gdzieś być musi. Wygląd mieszkania wydał mu się trochę zmieniony, poznawał w nim pewien porządek, gdyż stróżka z powodu zapowiedzi przyjazdu pani usiłowała zaprowadzić jaki-taki ład w doprowadzonym do chaosu lokalu.

— Niema nic — przewinięło mu się po spieczonych wargach. Położył się na łóżku, zapalił papierosa i otrząsając popiół na marmurowy blat stolika, zapatrzył się w wiszącą u sufitu pajęczynę.

Chwilami przymykał oczy i zapadał w stan bezmyślnej tępoty. Wreszcie rozebrał się leniwie i usiłowa-

wał zasnąć. Ale zamiast snu napały go od czasu do czasu momenty odrętwienia, po których, jakby poderwany nagle obcą siłą, cucił się, jakby przerażony. Zapalał papierosa, odrzucał go, czując zgagę w gardle, i wtulał się głową w poduszkę, błagając o sen. Nad ranem zasnął twardo; około południa obudził się w stanie ciężkiego odurzenia, jak po przepitej nocy, z poczuciem leżącego gdzieś w głębi postrzału smutku. Leżał długo, czując, że nie ma pogo wstawać, wreszcie podźwignął się, umył jako-tako i zaczął się ubierać, myśląc się co do części ubrania. Nagle usłyszał zbliżające się po schodach znane mu kroki listonosza. Zastygł na chwilę, potem oblała go fala ciepłej krwi i drgnął, usłyszawszy delikatne stuknięcie w skrzynkę. Rzucił się ku drzwiom, wrócił po kluczyk i drżącymi palcami wydobyl podłużną kopertę z jej pismem. Rozdarł pospiesznie, błysnęła biała karta i błysk ten go spłoszył. Listy Lili były zwykle zapisane szczelnie nie tylko od góry do dołu, ale na krzyż i w skos.

— Stef — zostaje z Brunonem. Żal mi cię bardzo i czuję, że ten żal wzrastać będzie. Obecnie nie jestem w stanie pisać więcej, więc cię tylko całuję serdecznie. Lili.

Ręka Świdry obwisła z listem w dłoni, jak martwa, osunął się w fotelu

i doznał wrażenia jakby chybnienia się całej istoty nad przepaścią, otarcia się na moment o skrzydła śmierci. Siedział chwilę, jak oślepiały, drżały mu lekko ręce, drobne kropelki potu wystąpiły mu na czoło. Po chwili wstał i chwytając się poręczy łóżka, jak ciężko ranny, dostał się do posłania i padł twarzą w dół z wypartym na usta skurczem całego wnętrza cichym pojęciem. Leżący dawno i zwinięty pod sercem kłębek rozkręcił się, jak sprężyna, i wrzynając się w ciało, opasał mu wszystkie członki i zimna obręczą zacisnął się na czoło.

Mijał z wolna atak ostrej boleści i nastąpiły pauzy kompletnej prostracyi, zupełnego obalwania.

Wstał blady — wziął list i położywszy się, czytał go raz po raz, szukając jakiegoś innego znaczenia, czegoś, coby mogło podać w wątpliwość istotną treść tych kilku jakby jednym pociągnięciem pióra skreślonych słów.

Przewracał puste stronic, oglądał kopertę, stempel pocztowy i znów zapatrywał się w czarne sznurki czytelnego jej charakteru, w szereg słów jasnych, a jemu ciągle jeszcze niepojętych, jak hieroglify. Wreszcie słowo po słowie, jak kleszcz wpijający się w ciało, kolejno wszczepiały mu się w mózg okrutne wyrazy.

Dalszy ciąg nastąpi.

DWIE ANTOLOGIE.

2

Wszyscy poeci zwracają się chciwie do motywów dawnych, przetwarzają je różnorodnie, zasilają nowymi tonami, ozdabiają nowymi odmianami formy. Oto najpierw modlitwa. W naszych walkach powstaniowych stanowiła ona zazwyczaj żywioł ważny, niekiedy (jak w Konfederacji Barskiej) jedyny, niekiedy (jak w r. 1863) naczelny. Teraz modlitwy poetyckie nie posiadają już tego znaczenia. W obu zbiorach antologicznych jest ich niewiele, a wszystkie są raczej *literatura*, budownictwem pięknej metafory, niż wybuchem skargi lub prośby. Taka jest „Bogarodzica“ Stanisława Stwory, cała z troski literackiej wynikła; takimi są pieśni modlitwne Rydla: jego trawestacja „Przed oczy Twoje, Panie“ oraz kunsztowne, chłodne, retoryczne sonety „Przed Krucyfiksem wawelskim“. Teslar w swej „Modlitwie“ zapewnia, iż „Krzyżem się duch rozściela“, ale w dyalektycznych strofach rozmowy z Bogiem nie dostrzeżemy tu pokory:

„Padamy — owoc niedojrzały —
Z narodowego drzewa,
Nie chciwi pieśni, chwały,
Choć Śmierć je wśród nam śpiewa“...

Niekiedy modlitwę wplata się zgola świadomie jako ornament poetycki do „pamiętników żołnierza Wielkiej Wojny“. P. Artur Ćwikowski tak np. *harmonizuje* świst kul ze słowem modlitwy:

„Bądź uwielbiony w świetle czystym,
W którym się płoni Twa jutrenka.

Kule z złowróżbnym lecą świstem
I granat w snopie dymu pęka.

Two słońce budzi rodne moce,
Twoich niebios rosa glebę poi...

Czuwajcie! szrapnel znów chichocze,
Obłokiem nad głowami stoi, i t. d.

Zarówno w hymnach, jak w licznych manifestach uczuciowych jednej i drugiej antologii niemało jest wzajemnego przekonywania się o potrzebie udziału w walce, niemało zapewnień, że „poległy w boju stokróż szczęśliwszy“ — bo „zasiew krwi jego serca czerwony padł na rodzajne, ludowe niwy“ (Minkiewicz); że „woła Polski — woła Boga“; że „lżej będzie Polsce „w gromach burz, niżli w zawiedzionych wspomnien grobie“ (J. Maczka).

Najściślejsze połączenie z przeszłością mamy w hymnach, marszach i pobudkach. Podobnie, jak w r. 1831, cały szereg pieśniarzy, podpisanych lub anonimowych, przerabia pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła“, przyciskając ją do okoliczności i sentymentu młodego żołnierza-poety. Pozatem żyje wciąż jeszcze Anczycowska „Pieśń strzelców“, żyje i śpiewany jest powszechnie „Hymn strzelecki“, a nie zagłuszy go ani udatny „Marsz strzelców“ Orkana, ani różne marsze żołnierskie.

Same obrazy wojny (bardzo liczne w antologii Lempickiego i Fischera) nie mają dość silnego wyrazu. „To się pamięta, zawsze pamięta, choćby żył człowiek i tysiąc lat“ — ale odzwierciedla się to niełatwo. Tem trudniej, że monotonia wyczekiwania w okopach niewiele podsuwa wyobraźni obrazów batalistycznych. Opowiada szeroko o „szlakach wojny“ Henryk Zbierzchowski, malując „placówkę“, „pobojowisko“ i t. d., ale zatapiając jednocześnie opowieść w liryzmie skargi lub nadziei: „Gdzie cel i kres tych mąk i łez i tych różańców nizanych z krwi, strzaskanych szafców płonących wsi“ i t. d. Dość żywe są obrazy Stefana Godlewskiego („Pochód“, „Mowa kul“, „Pogoń“) a zwłaszcza Teslara i Mączki, pierwszego bodaj piewcy... „szrapnela“.

Groza śmierci i zniszczenia, idąca po ziemi polskiej, przeraża wielu pieśniarzy, niewiele wszakże zdobywa się w jej obrazach na głębsze tony, jak J. Kasproicz w swej „Księdze ubogich“ i Ilakowiczówna („A ta dudka z zielonej wierzby“).

Centralna treść obu zbiorów stanowią pieśni o „naszych chłopcach“. Znajdziemy tu wszelkie formy poetyckie: od ody do żartobliwej piosenki, od eposu do wyznania miłosnego. Ożywia je wszystkie gorąca wiara, że „ze czcią ujmiecie pogięte pałasze i zawiesicie na ścianach wysoko i łąz serdeczną zabłyśnię wam oko — gdy wam powiadać beda dzieje nasze“. Więc pełno hołdów, uznania, frenetycznej pobudki, radosnych rozpamiętywań chwil zwycięstwa, wzajemnego zagrzewania się do męstwa, czci dla bohaterstwa i zasługi. Mamy całe obrazy epickie, jak np. dłuższy fragment Mączki „Przez szczyty“, zakończony płomienną inwokacją do Warszawy:

Zali ty poznasz nas — i nasze czyny,
Gdy przyjdziem męką i bólem pokutni,
Ześmy są Ojców — nie wyrodne syny,
Tak na śmierć wierni — jeno bardziej
[smutni,
Ześmy — poczęte w bólach i w miłości —
Krew z krwi serdecznej Ich — i kość Ich
[kości.

Musi być teraz, oczywiście, i pełen rozmachu i samouwielbienia „rapsód ułański“, musi być fala rozkochania się w nieustraszonem, pol-

skim kawalerzyście. Śpiewa dzwiecznie o „panu Belinie“ i jego ułanach Edward Słoiński („Pan Belina“ i „O, mój rozmarynie!“), śpiewają i różni poeci przygodni (Lubicz, Wiśniowiecka etc.). Jest i nowoczesna Somosierra — sławna walka pod Rokitną, jest bajeczne męstwo poległego Wąsowicza i jego szwadronu, opiewane gorąco przez T. Piotrowskiego, Stworę, J. Mączkę, J. Pietrzyckiego, Zbierzchowskiego, W. Denhoffa-Czarnockiego etc. I tu, jak wogóle w pieśni teraźniejszej wojny, przemawia *głód legendy*:

„Od Chocimia głoszą pieśni,
Ze legendom wy rówieśni,
Ze jak dawniej krwawo kwitną
Polskie maki pod Rokitną.
Prawi pieśń, że ciemną nocą
Chorągiewki tam furgocą.
Na mogiłach, gdzie schowani
Młody rotmistrz i ułani,
Ze z dalekiej Somosierry
Przyjechały szwoleżery,
Żeby nad mogiłą nową
Pełnić wartę honorową...“

Ażebym zaś w liryzmie wspomnień nie zbrakło ani jednej *nuty podobnej*, są nawet „pieśni o czwartackim bagnecie“, śpiewane z zapalem przez Feliksa Gwiżdża i F. R. Biedronia, próbujących również trawestacji: „Legion walecznych idzie na Warszawę, przysięga Polsce: naszem hasłem Bóg“ itd.

Nadzieja wejścia do Warszawy, troska o jej losy wywołała szereg pieśni, w oddzielnej zebranych całości. Jest tu stary sonet Żuławskiego, są trzy gorące sonety G. Daniłowskiego („Miasto kochane, stolico ty święta“), jest wiersz Stwory, „wypowiedziany w miejskim teatrze w Krakowie na uroczystym przedstawieniu z powodu zdobycia Warszawy“, są pieśni na zdobycie Warszawy: J. Wigury, O. Rysiewicza, J. Relidzińskiego, H. Zbierzchowskiego. W całym zbiorze — pieśni to najbardziej melancholijne pełne, bo w nich może najwięcej zmąciła się owa czystość tonu, o której mówiliśmy wyżej...

Osobny dział stanowią piosenki, śpiewane w obozach żołnierzy.



Obok dawnych melodyj narodowych i pieśni ludowych, pełno tu żartobliwych piosenek, satyrycznych wierszyków, bezpretensjonalnych, wszelkiej troski o formę pozbawionych. Dość ubogo przedstawia się również wojenna piosenka miłosna. Kilku pieśniarzy (J. Mączka, W. Denhoff-Czarnocki) przynoszą w tej dziedzinie motywy zużyte. To samo powiedzieć należy o garści obrazków z naszego życia obyczajowego podczas wojny („Na rzewną nutę“). Słodki, niekiedy cikliwy sentyment wyrażać ma cały stosunek społeczeństwa do tych, co na walkę śmiertelną poszli. „Do moich synów“ Żuławskiego, i „Złote ognie“ Mączki, najprzedniejsze strofki tego działu nie zamkną całej skalę uczuć, które się przez serca przewijały.

Wymowniejsi są pieśniarze w podzwonnem tym wszystkim, co po- legli na polu chwały. Od uroczystych tercyn Kasprowicza z „Księgi ubogich“ aż do anonimowych żalów na pobojowisku, brzmią tu wszędzie tony poważne, spowiada się cicha rezygnacja, spowiada się głęboka wiara w konieczność i niezawodny skutek poniesionej ofiary. „Choć tysiące śmierć wytraca, Polska żyje — niezgębiona“ (Teslar). A zresztą, zapewnia W. D. Czarnocki, „kiedy się w wichrach drzew odwieczne śnienie ziści, hej! wtedy nie żal, nie, odpadłych młodych liści“.

Nie chcąc pominąć żadnego tonu w melodyjach wojennych, dają antologie również i pieśni satyryczne. Są tam gorzkie uśmiechy Lemańskiego („Chleb i dach“, „Fuga patryotyczna“, „Dwie polityki“), jest zrečna gawęda H. Zbierzchowskiego „Szrapnel w kawiarni“, jest wreszcie nieco melodyj bez znaczenia.

Wiele przesieje nasza pamięć z tych przedwczesnych antologii wojny. Nieliczne liryki, opisy i zadumy, które niewątpliwie zostaną (J. Mączki, E. Słoińskiego, Z. Dębickiego, A. Ćwikowskiego, Żuławskiego, Rydla, Daniłowskiego, Lemańskiego etc.) zaświadczać będą-co-bądź, iż w czasie wojny, zdala od swarów politycznych, jedna tylko poezja nasza miała zupełną zgodność tonu w trosce o Ojczyznę. Ona również najgłębiej wyrażała troskę o przyszłego człowieka, wierząc, że:

...może z straszliwej zawiei,
Co świat ten naokół niszczy,
Nie same li grzyby wyrosną
Nie same li kupy zgłiszczy?
Może w zapasach olbrzymów
Zie się nareszcie przełamie —
I Bóg już na jego miejsce
W ludzkim zamieszka chramie?

Tak marzy Kasproicz w swej „Księdze ubogich“, tworzonej „w obliczu Tatr, na codziennych, samotnych przechadzkach w polu“.

Jan Lorentowicz.

„Zeszyt Wojenny“.

OGIEŃ HURAGANOWY.

*Stu piekieł pękły już okowy,
Leje się spiż huraganowy —
Ciał ludzkich członki poszarpane —
Ziemia zmieniona w jedną ranę —*

*Wtem — patrz! — w tej orgii jacyś ludzie
Harcują na krwią zlanej grudzie
I drwią bezpieczni z tej otchłani —
Kto są ci mężni? — Obląkani.*

NA PLACÓWCE.

*Wedeta. Nocną drąc opone,
Oczy żołnierza wyteżone.
Wtem — w krzakach zarys mglistej smugi —
„Stój!” Żołnierz strzelił raz i drugi.*

*Cisza. — Żołnierz! próżno kule
Mieciysz: co mroźnie i nieczule
Poświatą błysło tam miesiąca,
To — twoja własna śmierć krocząca.*

NIEZNANY.

*W przeddzień odjazdu na plac boju
Przyszła nieznany mi subtelny
Młodzian — o duszy nieśmiertelnej
Pomówić zbożnie i w pokoju.*

*Już żegnał — Na odchodnym rzucę:
„Więc — rychle?” Odrzekł: „Jeśli wrócę”.
I dziwnie głos ten ciszę skłócił.
..... Nie wrócił.*

JEŃCE.

*Jeńców gromada różnoraka —
I uczuć różna też poszlaka:
Ów drwi, ów biada, inny płacze,
Inny klnie życie swe tulacze.*

*Jeden z nich tylko na odłogu
Duszę, jak śliczny kwiat, oniemi:
Ten ci jest jeńcem na tej ziemi.
Ale, zaprawdę, wolny w Bogu.*

ROZMOWA.

— Kiedy, mamusi, tatuś wróci?
— Jak wojna skończy się ta znojna.
— A kiedy skończy się ta wojna?
— Jak Bożia zechce i ukróci.

— A kiedy Bożia zechce, mamó?
— Ach, Bożia, synku mój, z tą samą
Chwilką i zechce, i rozświeci,
Gdy grzeczne będą ziemskie dzieci.

WIDOWISKO.

*Bezludna, pusta okolica,
Jak w jednym z pierwszych dni stworzenia:
Cała racami się splomienia
I gromem ciągłym się podsyca —*

*I cała przestrzeń wre i błyska
Z rozwulkanionych sił ogniska:
Tworzy się świat i nowe dreszcze,
Lecz — w ile ziemi człowiek jeszcze.*

NAŁÓG.

*Pojmany szpieg i osadzony
Ostatnie chwile, jak w oblężeniu,
U tej nieznanej wszem zasłony
Trawi. — Za chwilę już nie będzie.*

*Przyszli. „Ostatnie twe żądanie”, —
Pytają. A ów, już u stosa
Szubienicznego, tłumiąc drganie,
Zażąda głucho: papierosa.*

KTO ZWYCIĘZCA?

*Zaprawdę, niczem moc oręży
I ziemską zdobycz pochwyconą,
Jeżeli siebie nie zwycięży
Człowiek i złości nie pokona:*

*Bo choćby cały świat dokoła
Przebiegł w zwycięskiej swojej chuci,
Zawsze do tegoż miejsca wróci,
Skąd o zwycięstwo życie wola!*

TAM...

*Ci, co tak pełni pasy wczora
Walczyli, — dzisiaj już w przestrzeni,
Jako widmowa mętna stwora,
Krażą w swych miejscach zropanieni.*

*I, nim je wyższa wzniesie sfera,
Widokiem męczą się krwawizny,
Nie mogąc krwi już czerpnąć żywej
Dla pasy, która je rozdziera.*

POGRZEB BOHATERA.

*Pogrzebowe trąby grają — żałośliwą świtą —
Na lawecie trumna, starym sztandarem okryta, —
Za lawetą koń rozumny z pochyloną głową, —
Szeregami wojska idą miarowo, surowo.*

*Grzmiać armatnie salwy — stary żołnierz łzy ociera —
W niebo jasne już wstępuje dusza bohatera —
Któż był ten, co wśród tysięcy taką żalność iści?...
Ten ci ziemię krwią użyźnił — krwią bez nienawiści.*

E pur si muove!...

...Ciepło kwietniowe uderza w okna zamożnej samotni pana Apolinarego i wywabia go z domu. Po raz pierwszy po dwóch latach przymusowego zamknięcia — dla zdrowia! Bierze dorożkę i każe się wieźć w Aleje. I falą owiewają go wspomnienia...

Pamięta doskonale ten dzień, kiedy to po raz ostatni, zanim niemoc powaliła go do łóżka, wyszedł był z domu. Było to okragło dwa lata temu. Niemal dzień ten sam w tygodniu i ta sama data... O wojnie nikomu się jeszcze nie śniło!... Dzień był równie napozór chmurny i chłodnawy; drzewa nagie jeszcze były i bezlistne, a czarniawa, bezkarnie deptana ziemia gazonów ulicznych nie barwiła się najdrobniejszym nawet pękiem roślinnym. Ale w powiewach czuć już było zapowiedź budzącej się wiosny...

Podobnie i dziś... Pora pracy — wczesne popołudnie — tak samo droga spacerowa „Paryża północy“. Aleje, pusta jeszcze zupełnie... Gdziegdzie tylko pojedynczy przechodzień, wzorem pana Apolinarego, czule wywraca oczy do kochanki-natury, od czasu do czasu w rytmie zawrotnym przepędzi młodzieńca na rowerze, tu i owdzie ociężałe zastuka po chodniku wózek z maleństwem... Pod Belwederem jeszcze przestronniej: zgola już bezludnie zupełnie na drodze, wiodącej wgląd prastarego parku królewskiego...

Podobnie było i wtedy... Pan Apolinary, goniąc za ciepłem i przestrzenią, zawędrował był aż nad brzeg martwego jeszcze stawu stanisławowskiego. Przysiadł na chwilę w słońcu — opodal na ławce dostrzegł ich dwoje, nie widzących nic i nikogo dokoła, nieczułych na ciepło uderzające z góry, ani na zimno, bijące od ziemi, zgola zasłuchanych, zatopionych w sobie... Pan Apolinary popatrzył na nich z zazdrością i powłókł się do domu, unosząc ze sobą ten obraz na całe długie dwa lata przymusowego zamknięcia... Po drodze spotkał był jeszcze inne pary, zdążające w głąb parku. Te już nie mia-

ły tej wymowy zaklęcia, ale i na nich śmiała się wiosna...

Od tego czasu... przez dwa lata... ile zdarzeń niezwykłych, przewrotów, kaktaznów, tragedii dziejowych, narodowych dramatów, nieszczęść rodzinnych, smutków jednostek — przeżyło miasto! Pan Apolinary nie brał w tem wszystkiem udziału, słyszał tylko ponure odgłosy tych zdarzeń, uderzające potrzaskającym echem o ściany jego samotni, doświadywał się od innych, czytał o rzeczach tylu, i tak bardzo dziwnych!... Prawie wyobrazić sobie nie umiał, jak wyglądać może po tem wszystkim jego miasto rodzinne, jakim je ujrzy, gdy nareszcie po latach zamknięcia pozwola mu siły własnymi oczami sprawdzić zasłyszane wrażenia... Pierwszy sierpień, dni październikowe, bomba w Alejach, znów dni sierpniowe i tyle, tyle dat!... Tyle kart przewróciło się w historii świata, kraju, miasta rodzinnego — niemal nowy rozdział historii się zaczął, nowe pokolenie na świat się narodziło i nową tworzy życie...

I wiosna znów przysła, niby jakaś nowa i inna, a jednak ta sama... Te same upojne powiewy, płynące poprzez bezlistne ramiona nagich jeszcze drzew, te same zapachy, idące od czarniawych, deptanych bezkarnie gazonów ulicznych... I pustka ta sama w porze wczesnej, przedpołudniowej dnia powszedniego na „Polach Elizejskich“ Warszawy i w jej „Lasku Bulońskim“ — Łazienkach...

Pan Apolinary, szlakiem wspomnień, każe się wieźć nad brzeg martwego stawu królewskiego. Przebóg, ta sama para, miłośnię pogrążona w sobie, zasłuchana w rytm własnej wiosny, siedzi w słońcu na ławce i tak samo nie widzi nikogo, nie słyszy nic dokoła!... Jakby nie wstawali przez całe dwa lata z tego miejsca, z odludnej ławki ogrodowej nad stawem parku królewskiego... I znów od wejścia daży wgląd ogrodu cały legion wiosen roześmianych...

A życie powiedziało pono tyle wielkich, krwawych rzeczy, tyle zważyło, tak wiele w miejscu zatrzymało — — —

B. Górczyński.

Przekład z angielskiego
przez H. J. P.

B A K.

POWIEŚĆ.

— Wszystko to bardzo pięknie, moi panowie, pragnąć natychmiastowej pomocy dla ludu — zabrał głos Grassini, spoglądając na zagorzalech radykałów z chłodnym politowaniem. — Wielu z pomiędzy nas pragnęłoby również dla siebie różnych, dobrych rzeczy, których nigdy zapewne nie otrzymamy, ale jeżeli zaozniemy w tym tonie, prawie że nakazującym, rząd obrazi się i nie nie przedsięwzięcie, dopóki głód w rzeczywistości nie nastąpi. Gdybyśmy tylko mogli skłonić ministerium do zbadania stanu żniw, byłby to już poważny krok naprzód.

Galli, siedzący przy kominku, zerwał się z miejsca.

— Krok naprzód; zapewne, ale głód, jeżeli ma być, nie będzie szedł naprzód takim żółtym krokiem. Lud może umrzeć z głodu, nim wykończymy jakąś doraźną pomoc.

— Dobrze byłoby wiedzieć — zaczął Sacconi, ale kilka głosów przerwało mu:

— Głośnie! Głośnie! Nic nie słychać.

— Spodziewam się, przy takim piekielnym hałasie na ulicy — zawołał Galli gniewnie. — Czy okno zamknięte, Riccardo? Toż tu bębienki w uszach popękać mogą.

Gemma podniosła oczy.

— Tak; okno zamknięte. Zdaje mi się, że to jakiś wędrowny cyrk przechodzi ulicą.

Jakoż z ulicy dochodził odgłos śmiechu i krzyków, tupot licznych nóg i brzęk dzwoneczków, pomieszany z przeraźliwym dźwiękiem dętych instrumentów i niemiłosiernym waleniem w bęben.

— Na to już niema rady — rzekł Riccardo — w święta Bożego Narodzenia nie możemy się spodziewać ciszy na ulicach. Coś mówił, Sacconi?

— Mówiłem, że dobrze byłoby wiedzieć, co myślą o tem w Livorno i Pizie. Może Signor Rivarez udzieli nam w tym względzie jakich objaśnień? Wszak właśnie stamtąd wraca.

Bak nie odpowiedział. Zapatrzył się w okno i zdawał się nie słyszeć, co do niego mówia.

— Signor Rivarez — rzekła Gemma. Była najbliżej niego, a gdy wciąż milczał, pochylała się i dotknęła zlekka jego ramienia. On wówczas z wolna zwrócił ku niej twarz i Gemma przeleżała się jej trupiej bledości i martwoty. Po chwili dopiero usta jego poruszyły się w dziwny, automatyczny sposób.

— Tak — wyszeptał — to wędrowny cyrk!

Pierwszą myślą Gemmy było ostrzec go przed ciekawością obecną. Nie pojmując, co się z nim dzieje, widziała jednak, że jest pod wpływem jakiejś okropnej halucynacji czy wstrząsającego wrażenia, które zaważadnęło nim całkowicie. Wstała więc szybko i stanawszy pomiędzy nim a resztą towarzystwa, otworzyła okno, jakby chcąc wywrzeć na ulicę. Nikt prócz niej nie widział jego twarzy.

Jakoż ulicą przeciągnął istotnie wędrowny cyrk z całą kohortą lino-skoków na osłach i arlekinów w pstrych ubiorach. Święteczna gawiedź cisnęła się dokoła, rzucając confetti clownom i torebki ze słodyczami Kolumbinie, która siedziała na wozie strojną w świecidlą i pióra ze sztucznymi loczkami na czole i sztucznym uśmiechem na wymalowanych ustach.

Za wozem tłoczył się zmieszany tłum ulicznych arabów, żebraków, clownów, wywracających koziołki i kramarzy, zachwalających wrzaskli-

E. L. Voynich.

15

Przedmiotem obrad była broszura, jaką Komitet zamierzał wydać z racji głodu zagrażającego Toskanii, w której to broszurze miano przedstawić środki zapobieżenia tej klęsce. Rozprawiano z wielkim ożywieniem, bo jak zwykle członkowie Komitetu różnili się pomiędzy sobą w zapatrywaniach na tę sprawę. Radykalniejsi, a w ich liczbie Gemma, Martini i Riccardo, byli za energicznym odwołaniem się do rządu i publiczności, by przedsięwzięto niezwłocznie kroki ku ulżeniu nędzy ludu; umiarkowańsi — oczywiście, z Grassiniem na czele — lekali się, by stanowczość wezwania zamiast przekonać nie rozdrażniła raczej ministerium.

wie swoje towary. Wszyscy otaczali, popychali, skubali i oklaskiwali jakąś postać, której zrazu Gemma dostrzedz nie mogła. Ale po chwili zobaczyła, że był to brzydki, polamany garbus, w jaskrawym, błazeńskim stroju, obwieszony dzwoneczkami, w papierowej czapce na głowie. Widocznie należał do trupy i bawił tłum, wykrzywiając się ohydnie.

— Co się tam dzieje? — zapytał Riccardo, podchodząc do okna. — Cóż państwa tak zaciekawiło?

Zdziwił się trochę, że tych dwoje każe czekać całemu Komitetowi, by patrzeć na gromadę linoskoków. Gemma odwróciła się.

— Nic szczególnego — odrzekła — to tylko wędrowny cyrk; ale tak hałasują, że myślałam, iż coś zaśzło.

Stała, opierając rękę o parapet, i nagle uczuła namiętny uścisk chłodnych palców Baka.

— Dziękuję pani — szepnął; poczem zamknawszy okno, usiadł znowu na parapecie.

— Przepraszam — rzekł swobodnie — że przeszkodziłem panom. P...p...patrzyłem na cyrk; to t...t...taki t...t...ładny widok!

— Sacconi zwracał się do pana z pytaniem — rzekł Martini szorstko. Zachowanie się Rivareza wydało mu się wysoce nietaktownem i był zły, że Gemma poszła za jego przykładem. To tak było nie w jej stylu.

Bak oświadczył, że zgola nic nie wie o zapatrywaniach na tę sprawę w Pizie, gdyż jeździł „tylko na odpoczynek”; poczem odrazu rozpoczął ożywioną dyskusję, naprzód o stanie rolnictwa, dalej o broszurze, i gadał, gadał, jakając się aż do znudzenia. Rzec było można, iż znajduje jakąś osobliwszą przyjemność w dźwięku własnego głosu.

Gdy po skończonem posiedzeniu członkowie Komitetu zaczęli się rozchodzić, Riccardo podszedł do Martini'ego.

— Zostań u mnie na obiedzie — rzekł — Fabrizi i Sacconi zostaną także.

— Dziękuję ci; ale chciałem odprowadzić Signorę Bolle.

— Czy się obawiasz, że sama do domu nie trafię? — rzekła Gemma, wstając i kładąc płaszcz. — Naturalnie, że zostanie, doktorze Riccardo. To mu dobrze zrobi. Za mało bywa między ludźmi.

— Jeżeli pani pozwoli, odprowadzę panią — wtrącił Bak. — Idę w tamtą stronę.

— Jeżeli pan rzeczywiście idziesz w tamtą stronę —

— A ty, Rivarez, może wpadniesz także wieczorem? — rzekł Riccardo, odprowadzając ich do drzwi.

Bak spojrzał przez ramię, śmiejąc się.

— Ja, mój drogi? Ja pójdę oglądać wędrowny cyrk!

— Co to za szczególny człowiek, i jaka dziwaczna pasja do tych kuglarzy — rzekł Riccardo, wracając do pozostałych gości.

— *Simili similibus* — zauważył Martini. — On sam jest kuglarzem najczystszej wody.

— Gdyby tylko to — wtrącił Fabrizi — bo jeżeli to kuglarz, to bardzo niebezpieczny.

— Niebezpieczny? Pod jakim względem.

— Hm! Nie podobają mi się te jego tajemnicze wycieczki, które tak lubi. To już po raz trzeci znika w ten sposób; i nie wierzę, żeby teraz jeździł do Pizy.

— O! to jest prawie publiczna tajemnica, że jeździ w góry — rzekł Sacconi. — Nie zadaje sobie wcale trudu tacić, że pozostaje wciąż w stosunkach z przemysłnikami, których znał dawniej w sprawie Savigna i, oczywiście, korzysta z ich przyjaźni, by rozpowszechniać swoje broszury poza papieską granicą.

— Co do mnie — rzekł Riccardo — o tem właśnie chciałem z wami pomówić. Przyszło mi na myśl, że nie moglibyśmy znaleźć lepszego pośrednika dla przemycania naszych własnych wydawnictw nad Rivarez'a. Prasa w Austrii działa bardzo niedołężnie, a ten sposób szwarcowania broszur w cygarach jest więcej, niż powolny.

— Jak dotychczas służył nam nieźle — zauważył Martini. Drażniło go, że Riccardo i Galli wysuwali zawsze Baka na pierwszy plan, jakgdyby bez jego współudziału niczego nie można było dokonać.

— Tak; musiał służyć, bo lepszego nie było; ale sam wiesz dobrze, ile to pociągało za sobą aresztowań i konfiskat. Natomiast, jestem pewny, że gdyby Rivarez podjął się tego, rzecz poszłaby, jak z płatka.

— Na czem opierasz to przekonanie?

— Przedewszystkiem, przemysłnicy uważają nas za ludzi obcych, z którym; łączy ich tylko interes, lub że owce należy ostrzydzić, podczas gdy Rivarez jest ich osobistym przyjacielem, prawdopodobnie ich przywódcą, któremu ufają i z którym się liczą. Możesz być pewnym, że co każdy przemysłnik uczyni bez wahania dla uczestnika powstania Savigna, tego nigdy nie uczyni dla nas. Następnie, nikt z pomiędzy nas nie zna tak dobrze gór, jak je zna Rivarez. Pamiętaj, że ukrywał się tam jako zbieg, i żadna przemysłnicza drożyna nie jest mu obcą. Żaden przemysłnik nie ośmieliłby się oszukać go, gdyby nawet chciał, i żaden przemysłnik nie zdołałby go oszukać, choćby się nawet ośmielił spróbować.

— Więc proponujesz, abyśmy mu powierzyli cały zarząd naszą literaturą po tamtej stronie granicy: a więc rozpowszechnianie, adresy,

kryjówki; czy też poprostu mamy go prosić, by nam nasze wydawnictwa przemycał?

— Co się tyczy adresów i kryjówek, to zapewne zna on wszystkie te, które są w naszym posiadaniu, i wiele innych poza tem. Nie sądzę, abyśmy go czegokolwiek w tym kierunku nauczyć mogli. Co się tyczy rozpowszechniania, to już będzie, jak większość zadecyduje. Według mnie, główną rzeczą jest samo przemycanie. Raz niech książki znajdą się bezpiecznie w Bolonii, reszta jest względnie łatwa.

— Co do mnie — rzekł Martini — jestem przeciwny temu planowi. Po pierwsze, wszystko, co mówisz o jego zręczności i umiejętności w tym kierunku, to są tylko przypuszczenia; nie widzieliśmy go nigdy przy robocie i nie wiemy, czy w chwilach krytycznych umie zachować potrzebną przytomność umysłu.

— O! o to się nie lękaj — wtrącił Riccardo. — Historia sprawy Savigna dowodzi, że on głowy nie straci!

— A przytem — ciągnął dalej Martini — nie byłbym zgola skłonny — o ile znam Rivareza, powierzać mu wszystkich tajemnic stronnictwa. To lekkoduch i pozer. Zdać całą naszą przemysłniczą robotę w czyjeś ręce, to rzecz poważna. Fabrizi, co o tem myślisz?

— Gdybym miał tylko takie zastrzeżenia — odparł profesor — przeszedłbym nad niemi do porządku dziennego, jeśliby chodziło o człowieka, obdarzonego temi wszystkimi zaletami, o jakich mówi Riccardo, a jakie Rivarez niezaprzeczenie posiada. Co do mnie, nie wątpię ani w jego odwagę, ani w dobrą wiarę, ani w przytomność umysłu, ani w znajomość gór i górali. Ale nastroczą się inna kwestya. Oto, nie zaręczylbym, że on jeździ w góry jedynie dla rozpowszechniania swoich broszur. Zdać mi się, że tam jeszcze inne cele w grę wchodzi. Oczywiście, to tylko między nami, bo opieram się jedynie na podejrzeniu. Ale widzi mi się, że on jest w stosunkach z pewnemi „związkami” i to z najniebezpieczniejszymi.

— Kogo masz na myśli, „Czerwone Pasy”?

— Nie; „Occoltellatori”!

— „Sztyletników”? Ależ to banda wyrzutków, chłopów przeważnie, bez wykształcenia i politycznego doświadczenia.

— Takimi też i powstańcy Savigna byli; ale mieli kilku wykształconych ludzi, jako przywódców; i ci mogą ich mieć również. I pamiętajcie, że większość członków tych band terrorystycznych, to ci, którzy pozostali po sprawie Savigna, a nie mając dostatecznych sił do otwartego powstania, chwycili się skrytobójczych sztyletów na miejsce karabinów.

— Ale skąd przypuszczasz, że Rivarez jest z nimi w stosunkach?

— Nie przypuszczam; podejrzewam tylko. W każdym razie, należy się co do tego upewnić, zanim powierzmy mu nasze zakazane wydawnictwa. Bo jeżeli on prowadzi jednocześnie taką dwojaką robotę, to wyrządziłby ogromną krzywdę naszemu stronnictwu, podkopałby jego opinię i nie dokazałby niczego. Pomówimy jeszcze o tem kiedy indziej. Teraz chciałbym wam udzielić nowin z Rzymu. Powiadają, że ma być wysadzona komisya do opracowania planu miejskiej konstytucyi.

ROZDZIAŁ VI.

Gemma i Bąk szli w milczeniu Lung'Arnem. Gorączkowa gadatliwość opuściła zupełnie Rivarez'a; nie przemówił słowa, odkąd wyszli od Riccarda, i Gemma była mu za to wdzięczna. Czuła się zawsze skrepowaną w jego towarzystwie, a dziś więcej, niż zwykle, gdyż jego dziwne zachowanie się na posiedzeniu bardzo ją zaniepokoiło.

Około pałacu Uffici, Bąk przystanął nagle i zwrócił się ku niej.

— Pani zmęczona?

— Nie; dlaczego?

— Ani wyjątkowo zajęta dzisiejszego wieczora?

— Nie.

— Mam wielką prośbę do pani; przejdźmy się.

— Gdzie?

— Gdzie panj zechce.

— Ale po co?

Zawahał się.

— Nie mogę pani powiedzieć, a przynajmniej to bardzo trudno... ale proszę, wyświadczyć mi panj tę łaskę.

Podniósł na nią nagle oczy i ich szczególny wyraz zastanowił ją.

— Panu coś jest — rzekła łagodnie.

Wyrwał listek z kwiatka, zatknął go w butonierkę, i zaczął go skubać. Do kogo on był tak dziwnie podobny? Kto miał to samo przyzwyczajenie i te same nerwowe ruchy palców?

— Jestem zdenerwowany — wyrekł ledwo dosłyszalnym głosem, patrząc na swoje ręce. — Nie chcę być sam dzisiaj... Pójdzie pani?

— Owszem; ale w takim razie może pan zajdzie do mnie.

— Nie; racz panj zjeść ze mną obiad w restauracyi. Tu jest jedna doskonała w Signorii. Proszę, nie odmawiaj mi panj; przyrzekłaś!

Poszli do restauracyi i Bąk za dysponował obiad; ale sam prawie nie jadł i milczał uparcie, krusząc chleb na obrus i bawiąc się serwetą. Gemma czuła się coraz bardziej zadowolona i żałowała, że przyszła; milczenie stawało się uciążliwym, a trudno jej było zaczynać potoczną rozmowę z kimś, kto zdawał się zapominać zupełnie o jej obecności. Wreszcie Bąk podniósł głowę i rzekł nagle:

— Chciałabyś pani zobaczyć wędrowny cyrk?

Spojrzała na niego zdumiona. Co go opętało z temi cyrkami?

— Byłaś pani kiedy w takim cyrku? — zapytał, nie dając jej przyjść do słowa.

— Nie. To zapewne nie bardzo ciekawego.

— Przeciwnie. Według mnie, kto nie widział wędrownego cyrku, ten nie zna życia ludu. Wracajmy na Porta alla Croce.

Gdy przyszli, znaleźli już namiot rozbity za miejską bramą i ogłuszający warkot bębnow oznajmiał, że przedstawienie się zaczęło.

Było ono najpospolitszego rodzaju. Paru kłownów, arlekinów i akrobatów; woltżerka, skacząca przez obręcz, wymalowana kolumbina i garbus tworzyli cały skład trupy. Popisy ich i żarty nie były na ogół nieprzyzwoite ani ordynarne, ale bezbarwne i zwietrzałe. Publiczność śmiała się i klaskała, przez wrodzoną, tokańską uprzejmość, ale widocznie było, że bawią ją jedynie występy garbusa, w których natomiast Gemma nie mogła się dopatrzeć ani komizmu, ani dowcipu. Były to po prostu jakieś ohydne wykrzywania się, które widzowie naśladowali, podnosząc dzieci w górę, aby i one mogły zobaczyć „brzydala“.

— Signor Rivarez, czy naprawdę to pana zajmuje? — zapytała Gemma, zwracając się do Bąka, który stał przy niej, obejmując ramieniem drewniany słup namiotu. — Dla mnie to jest —

Urwała i patrzyła na niego w milczeniu. Wyjawszy ową chwilę, kiedy stała z Montanelli'm przy ogrodowej furtce, nie zdarzyło jej się widzieć ludzkiej twarzy, wyrażającej tak bezgraniczne cierpienie. Mimo-woli przypomniawszy jej się piekło Danta.

W tej samej chwili, garbus, kopnięty z tyłu przez kłowna, wywinął koziółka i opadł niekształtną kupką na środku areny. Dwóch kłownów zaczęło pomiędzy sobą wrzekomo dowcipną rozmowę, a Bąk, jakby się ocknął ze snu.

— Pójdziemy? — zapytał — czy też chcesz pani pozostać jeszcze?

— Wolę pójść.

Wyszli z namiotu i skierowali się ku rzece. Zrazu milczeli oboje.

— Jak się panj podobał cyrk? — zapytał Bąk wreszcie.

— Wcale nie; a niektóre popisy wydały mi się wprost wstrętne.

— Jakie mianowicie?

— Wszystkie te wykrzywania się i łamańce. Nie rozumiem, jak ludzie mogą się tem bawić.

— Mówisz panj o produkcjach garbusa?

Pamiętając jego szczególną drażliwość na punkcie fizycznych braków, Gemma chciała uniknąć wzmianki o garbusie, ale teraz, gdy sam poruszył ten przedmiot, odrzekła:

— Tak. Nie mogłam na to patrzeć.

— A publiczność tem się właśnie zachwycała. Nie uważałaś pani?

— Uważałam; i objaw ten wydał mi się bardzo smutnym.

— Dlaczego?

— Bo... bo było w nim coś okrutnego!

Bąk uśmiechnął się.

— Okrutnego? Dla garbusa?

— Nie tyle... On prawdopodobnie nie sobie z tego nie robił; uważa to zapewne, jako środek zarobkowania nie gorszy od popisów woltżerki lub kolumbiny... Ale sama przez się rzecz budzi niesmak. Jest w niej coś tak upokarzającego... tak to upadła naturę ludzką.

— Sądę, że był on dostatecznie spodlony, gdy rozpoczął tę karierę. Większość nas jest spodlona w ten lub inny sposób.

— Zapewne; ale... może się to panu wyda śmiesznym przesądem, — ale dla mnie ciało ludzkie jest czemś świętem; nie mogę patrzeć, gdy się je poniewiera i zohydza.

— A dusza ludzka?

Zatrzymał się nagle; i stał z ręką opartą o kamienną balustradę bulwaru, patrząc na Gemmę.

— Dusza? — powtórzyła ona, przystając także i spoglądając na niego ze zdziwieniem.

Bąk wyciągnął obie ręce nagłym, namiętnym ruchem.

— Czyż to pani nigdy na myśl nie przyszło, że nędzny kłown może mieć duszę; żyjącą, czującą duszę, uwięzioną w jego pokoszlawionem ciele? Pani, która masz tak tkliwe serce, która litujesz się nad ciałem ustrojonem w błazeńskie gałganki i dzwonki, czyż nie użaliłaś się nigdy tej nieszczęsnej duszy, która nie ma nawet pstręgo łachmana, by okryć swą straszliwą nagość? Pomyśl pani, jak ona kuli się ze wstydu i bólu przed tym rozbawionym tłumem, którego żarty smagają ją, jak szpicrutą, a śmiech piecze, jak rozżarzone węgle przytknięte do żywego mięsa. Pomyśl, jak rozgląda się bezsilna, napróżno jakiegoś schronienia lub ratunku wyglądając, zazdroszcząc szczerom, które mogą skryć się w jakąś norę, i pamiętaj, że dusza jest niema... że musi tylko cierpieć, cierpieć i cierpieć! Och! jakież ja głupstwa plotę. Czemu się panj nie śmiesz? Nie masz poczucia humoru.

Gemma odwróciła się i zaczęła iść w milczeniu wzdłuż rzeki. Przez cały ten wieczór nie przyszło jej do głowy, żeby to, co tak dziwnie wstrząsnęło Bąkiem, mogło mieć jakikolwiek związek z wędrownym cyrkiem, a teraz gdy ten nagły wybuch odsłonił jej jakiś mętny obraz jego wewnętrznego życia, zdjęła ją taka ogromna nad nim litość, że nie mogła zdobyć się na wyrzeczenie bodaj jednego słowa. On szedł obok niej z odwróconą głową, patrząc w rzekę.

Dalszy ciąg nastąpi.

Buskibi limonata, Effendim!

Jak cudnie grają słońca promienie na lazurowej toni Bosforu!

I jak księżyc złoty kapie się nocą w turkusowej fali!

A niebo, niby płaszcz Mahometa, usiane gwiazdami.

I nie wiem, czy dzień jest piękniejszy, czy złudniejsza noc-zwodnica południowa. Ale... nie w Konstantynopolu. Tylko za jego murami. Bo chodząc po tem dziwnem mieście, nie widzi się piękności „Złotego Rogu“ ani też bizantyjskich linii meczetu „Aja Sofia“. Tłoczą się wszędy przekupnie, ciągle słychać krzyk, gwar i harmider. Plagą Konstantynopola są przekupnie. Jak to wrzeszczy, jak gestykuluje, jak wyje. Najwięcej we znaki dają się sprzedawcy limoniady cytrynowej. Co dziesięć kroków słysząc:

— Buskibi, buskibi, limonata! Effendim! Effendim! — W przekładzie polskim zaproszenie to znaczy: Wielebni panowie, proszę zimna, jak lód, limoniada cytrynowa.

Już od świtu rozlega się ten ochrypły krzyk. Ale nie jest to jedyna rozkosz Konstantynopola. Gdy cudzoziemiec nauczy się tego okrzyku — otuman; go inny: Salapedji. Ten przyjemny głosik zwiastuje kucharza ulicznego, który przyrządza na mleku smakowite potrawy: Taukurschu. Pierś kurza gotowana w mleku. Albo też ryż gotowany na mleku z wodą różaną.

Sprzedawcy mleka zachwalają swój towar przez słodkie: Būd! Būd! (mleko po turecku). Rzemieślnicy jednak dopiero zaімponować mogą gadatliwością. Taki blacharz podwórzowy, „Tenekdji“ wiecznie na plecach z swoimi przyrządami „Mandalachja“, toż to potwór uprzykrzony, który zawsze przeszkadza spać. Albo zalotny handeł, który mówi o sobie zdrobniale: „Bakalakiris irthe“ — drobny, mały jestem kupiec. Przeważnie grek i przez nos syczy: „Palia rucha agorosa“ — kupuję stare rzeczy. Tak! jegomość wkręci się wszędzie, wszędzie go pełno. Czyha na swoje ofiary i naprzykrza się stale.

Albo panicz ogorzał, wołający: „Spasmena piata siaso!“ Sklejam starą porcelanę. Ach! to dopiero opryszek i usługowy wydrwigrosz.

Zresztą każda pora roku rodzi na ulicach Konstantynopola falangi różnych sezonowych krzykaczy. „Tschenschüsüm“ — winogrona, to znów „Ferikelma“ — jabłka, albo „Hindostan Kaissi“ — śliwki z Hindostanu, rozlega się na różne tony, szaleje na ulicach Konstantynopola. Nie mówi się już o sprzedawcach ryb, tej stałej plagi — wykrzykującej „Djery“ — „Djery“ i sprzedawcach

kwiatów, co zawsze mają „Lewanta tschitschek“ — kwiaty lewandy do odstąpienia.

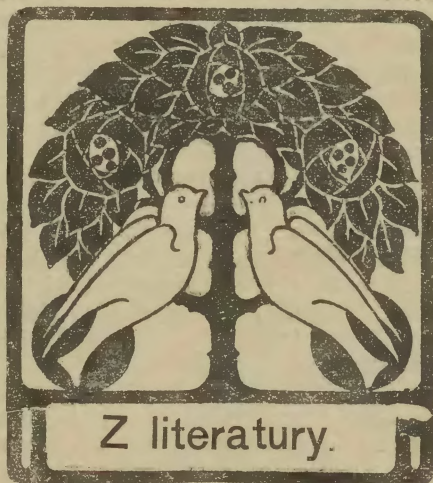
I noc w Konstantynopolu jest niespokojna. Zamilknie wprawdzie na parę godzin „Buskibi limonata“ — ale za to staną na posterunkach stróże nocni, których tu jest liczba niesłychana. Ci strażnicy mienia publicznego znów stale nawołują na siebie wzajemnie, kołaczac wciąż w bramy domostw. Chwilami w bezsenne noce niewiadomo nawet, kto więcej przeszkadza spać, czy wyiace psy Konstantynopola — czy też stróże nocni. Ach, te psy uliczne! Zwierzęta pocziwe ale też tak naprzykrzone, jak i sprzedawcy, handlarze i przekupnie z nad „Złotego Rogu“.

Kto chce poznać piękno nieba tureckiego — niech nie patrzy na nie w Konstantynopolu. W każdym razie niech nie zadługo patrzy. Niepowściągliwe, cudze ręce mogą mu w rozgardy aszu ulicznym poszukać zegarka lub portmonetki. Broń Boże, w jakowymś złym celu. To tylko przez ciekawość dla europejczyka.

Piękne jest niebo nad Bosforem. Cudnie jarzą się gwiazdy. By jednak je podziwiać, wyjechać należy za rogatki Konstantynopola.

Konstantynopol.

Dr. Stef. L.



Nowa Nauka.

Do liczby przekładów, na których mogą się uczyć pokolenia, przybývá praca Jana Baptisty Vico „Nowa Nauka“. Przekładu dokonał znany poeta i literat, Antoni Lange. Wydawnictwo zostało uskutecznione dzięki zapomódze z „Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowym imienia dra Józefa Mianowskiego“. W ten sposób stało się zadość bardzo dotkliwie odczuwanej potrzebie przyswojenia tego wybitnego dzieła myśli polskiej. Studya historyzoficzne bez poznania „Nowej Nauki“ Vica są niemożliwe. Ostatnimi czasy przytem cały szereg myślicieli wrócił do księgi Vica i gorąco poleca ją wszystkim tym ludziom, którzy w dzieje świata patrzą w skupieniu i szukają w nich praw niezłomnych bytu. U nas w Polsce szczególnie interesował się dziełem Vica znany filozof i polityk, Kazimierz Kelles-Krauz. Praca

jego „Dyalektyka społeczna w filozofii Vica“ (patrz tom: Materyalizm ekonomiczny) dla wszystkich tych, którzy zechcą przestudyować księgę „De scientia nuova“, będzie doskonałym kluczem do zrozumienia archaicznej metody wykładu Vico, jako myśliciel — silnie też przemawiał do wyobraźni Stanisława Brzozowskiego. We Włoszech i Francji Vico przed wojną był szeroko komentowany. Tak sfery anarchiczno-syndykalistyczne jak i katolickie anektowały sobie wiedzę i doświadczenie Vica, by tem skuteczniej przemówić do wyobraźni swoich zwolenników. Vico w Polsce jest stosunkowo mało znany. Należy jednak bezwzględnie do najbardziej inspirowanych i zapładniających pisarzy. Jego idea, że „Bóg przez naród tworzy historię“ i wiara, że „skoro pewne prawa zostały ustanowione przez Opatrzność, to dzieje narodów musiały, muszą i będą musiały podążać w kierunku, wskazanym przez nową naukę, która nakreśla wieczny kołobieg idealnej historii, po którym obracają się w czasie historie wszystkich narodów“ (Nowa N. 363, 365) — należy do rzędu twierdzeń przyjętych przez oficjalną marksowską nawet doktrynę z modyfikacją tylko co do nazw. Wierny syn Kościoła, Vico, wierzył jednak, że „prawem naturalnem ludów jest prawo pożytku i siły“. Filozof „wieczystych idealnych dziejów“ prawo-siły i pożytku wysuwa na jedno z miejsc naczelnych w swoich rozmyślniach.

„Nauka Nowa“ krzepiąco wpływa na ludzi: pobudza do samodzielnego myślenia i hartuje wolę. Poprzez pryzmat jej ujęć bliższą staje się nam przeszłość narodowa, spokojnie możemy patrzeć w przyszłość, bo „wieczyste idealne dzieje“ stając się wedle planu Opatrzności, pobudzą nas do organizacyi siły i pożytku, gdyż jest to prawo naturalne ludów. Przedmowa i komentarz Fausta Nicolini ukazują nam „Nową Naukę“ ze strony historycznej i filologiczno-wydaawniczej. Przekład p. Antoniego Langego doskonały. Za przyswojenie mowie naszej tego dzieła należy się mu uznanie.

Cytadela Warszawska.

W poręcznej wydanej książeczce dać no ustępy ze wspomnień Wolickiego, Gordona, Jasieńczyka, Daniłowskiego, Jordana i Zapłowskiego, dotyczące Cytadeli. Wspomnienia te mówią tylko o przeszłości. A wartoby dla uzupełnienia obrazu załączyć tu głosy i tych działaczy naszych społecznych i patriotów, którzy zmuszeni byli przesiadywać w Cytadeli podczas głośniego procesu „Proletaryatu“, wreszcie i wspomnienia z rewolucyi 1905 r. są arcyceennym materiałem do zrozumienia ciągłości cierpień naszych narodowych. Książeczka zyskałaby przez to niesłychanie. I czytelnik współczesny łatwiejby odczuł mękę naszych pradziadów, gdyby mu przedłożono katusze braci, sióstr i mężów, co by dreczeni w kazamatach dziesiątego pawilonu. Niema przecież prawie rodzin w Polsce, by który z jej członków nie odbył długich relokacyi w Cytadeli. Z racji też tej należałoby wziąć pod uwagę materiał współczesny. I wtedy porównać mógłby czytelnik działalność Grasa z „pracą“ Grüna, zairzeć do potwornej duszy Leichteego i Zawarzina.

